



POLSKA SZTAFETA

Numer 1 / 2023



www.polskasztafeta.pl



Wspinaczka to była miłość od pierwszego wejrzenia!
– rozmowa z Natalią Kałucką **2-3**

Korzyści z judo – nie tylko dla ciała **4-5**

Nie każdy musi od razu być olimpijczykiem – rozmowa z Roksaną Słupek **6-7**

Pierwszy olimpijski brąz dla Niepodległej – w jeździectwie **8-9**

Monika i Tadeusz Michalikowie – rodzinnie po medale olimpijskie **10-11**

Wyścig Pokoju – zawody, którymi żyła cała Polska **12-13**

Wiśła była dla nas jak dom – rozmowa z Magdaleną Śliwą **16**

FOT. SEBASTIAN KROK

21 lat historii krakowskiego toru kajakarstwa górskiego

14-15

Bez radości i frajdy sport nie ma sensu

– rozmowa z **Natalią Kałucką**, złotą medalistką mistrzostw świata we wspinaczce sportowej na czas w 2021 r.

Jak zaczęła się pani przygoda ze sportem? Czy wspinaczka była pierwsza, czy może zaczęła pani od innej dyscypliny?

Wspinaczka to była miłość od pierwszego wejrzenia! W ferie i wakacje miasto organizowało dla dzieci akcję „Lato w mieście”, która pozwalała wziąć udział w różnych zajęciach sportowych, w tym między innymi wypróbować wspinaczki. Wielu moich znajomych swój pierwszy kontakt ze wspinaczką zawdzięcza właśnie akcji „Lato w mieście”. Pierwsze kroki na ścianie stawiałam więc w Miejskim Klubie Sportowym w Tarnowie, niestety dziś ta hala już nie istnieje.

He miała pani wtedy lat?

Szłam do drugiej klasy szkoły podstawowej, miałam osiem lat. Gdy zaczęłam trenować, poznałam chyba naszych wszystkich tarnowskich zawodników – bo środowisko wspinaczkowe jest bardzo przyjazne i otwarte, łatwo nawiązać kontakt z innymi. Zresztą u nas, w Tarnowie, wspinaczka od zawsze cieszyła się popularnością, było wielu uzdolnionych i utytułowanych zawodników. Wspinaczka jest swojego rodzaju tarnowską tradycją, czuć u nas ducha sportu i można powiedzieć, że miasto żyje tą dyscypliną. To w ogóle świetny sport dla młodych osób, moim zdaniem nawet pięcioletnie dziecko można już zapisać do klubu.

Którzy zawodnicy stanowili dla pani największą inspirację?

Pamiętam, że jak byłam małym dzieckiem, trenowały ze mną siostry Buczek – Klaudia i Sylwia. Klaudia była wtedy wicemistrzynią świata! To był mój pierwszy kontakt z zawodniczkami wyższej rangi. Potem zaczęłam podążać swoimi ścieżkami, nie miałam raczej idoli, chciałam stworzyć własną historię.

A czy obserwuje pani zmagania sportowe zawodniczek z innych dyscyplin?

Miałam okazję poznać Justynę Kowalczyk. W 2018 roku pojechałam na igrzyska młodzieżowe w Buenos Aires. Spotkałam tam wielu zawodników, którzy dzisiaj odnoszą światowe sukcesy, między innymi Igę Świątek. Poznałam też lekkoatletki z mojego rocznika. Jest wielu sportowców, których oglądam, śledzę w serwisach społecznościowych i którym kibicuję. Z częścią z nich utrzymuję stały kontakt.

Czy dla młodego sportowca możliwość poznania znanych sportowców, takich jak Justyna Kowalczyk, to ważne doświadczenie?

Justyna Kowalczyk jest dla mnie inspiracją do bardzo ciężkiej pracy, bo to klucz do sukcesu w sporcie. Wiadac, że Justyna jest pełna miłości do sportu – to bar-

do inspirujące dla młodych zawodników. Uważam, że możliwość poznawania sportowców z innych dyscyplin i wymiana doświadczeń to ważne doświadczenie dla wspinaczy. Losy innych zawodników w ogóle mnie interesują, lubię czytać książki o dokonaniach sportowych innych osób. A kiedy rozmawiam z kimś o sporcie i widzę, że ta osoba czuje to samo co ja, jest to bardzo przyjemne uczucie.

Ma pani ulubioną dyscyplinę, w której kibicuje pani innym zawodnikom?

Obserwuję wiele zawodniczek z lekkoatletyki, głównie sprinterki. Myślę, że nasze dyscypliny są nieco podobne do siebie. Mam też kontakt z zawodniczką taekwondo, śledzę na bieżąco jej występy.

Jakie były najciekawsze zawody, które miała pani okazję oglądać na żywo jako kibic?

Na igrzyskach młodzieżowych w 2018 roku po raz pierwszy widziałam właśnie taekwondo. Trener obiecał mi, że kiedyś zawalczę ze swoją siostrą na sportowych zasadach (*śmiech*). Cieszę się, że poznałam tę dyscyplinę, bo szczerze mówiąc, wcześniej chyba nawet nie zdawałam sobie sprawy, że taekwondo istnieje. A to bardzo widowiskowy sport!

W pani dyscyplinie duch walki i rywalizacji jest również istotny, prawda?

Tak, chociaż uważam, że najważniejsza jest radość i sportowa „zajawka”, wtedy najlepiej się rywalizuje z innymi zawodniczkami. Bez radości i frajdy sport nie ma sensu. To jest dla mnie główna przyczyna, dla której uprawiam wspinaczkę. Oczywiście jest to również sposób na życie – można powiedzieć, że to moja praca, przecież w ten sposób zarabiam. Radość i frajda są najważniejsze, ale nie mniej istotne jest to, by nie martwić się, czy będzie z czego zapłacić rachunki.

Czy podczas startów ważniejsza jest forma i koordynacja wypracowywana na treningach, czy raczej psychika?

Zeszły sezon nauczył mnie, że liczy się głównie psychika. W tamtym roku z moją formą bywało różnie, miałam wloty i upadki. Dzięki temu, że byłam powtarzalna i umiałam powstrzymać emocje, uzyskiwałam dobre wyniki. Jestem zadowolona, że chociaż fizycznie nie było tak, jak bym chciała, to udało się wypełnić te braki właśnie powtarzalnością i panowaniem nad nerwami. To dlatego sądzę, że właśnie psychika jest najważniejsza.

Które zawody najbardziej zapadły pani w pamięć?

Z pewnością to były zawody w 2015 roku w Tarnowie, moim rodzinnym mieście. Zdobyłam wtedy swój



Natalia Kałucka podczas treningu na ścianie wspinaczkowej.

FOTOGRAFIA: NEWSPIK.PL

CZY WIECIE, ŻE...

...na pierwszych zimowych igrzyskach olimpijskich w Chamonix (1924), a także na igrzyskach w Los Angeles (1932) i Berlinie (1936) przyznano złote medale w alpinizmie – za najciekawsze wejście górskie dokonane w dowolnym miejscu na ziemi. W Chamonix złoto odebrał Edward Lisle Strutt, członek brytyjskiej ekspedycji na Mount Everest, dowodzonej przez Charlesa Bruce'a. Ekspedycja ta w 1922 r. dotarła na wysokość 8326 m.n.p.m.



Członkowie brytyjskiej ekspedycji na Mount Everest w 1922 r.

ŹRÓDŁO: DOMENA PUBLICZNA

pierwszy medal w pucharze Europy juniorów. Miałam bodajże 15 lat, na arenie międzynarodowej szło mi dość średnio, zajmowałam raczej dalsze pozycje. Mimo to zdobyłam swój pierwszy medal – nikt się tego nie spodziewał! To był przełom w mojej karierze. Uświadomiłam sobie, że chcę się dalej rozwijać w tej dyscyplinie.

Pamiętam też swoje pierwsze zawody za granicą. To był puchar Europy w boulderingu, czyli w dyscyplinie, w której obecnie już się nie specjalizuję. Wybrałam się na zawody z moim tatą i trenerem. Bardzo miło wspominać ten wyjazd. Byłam młodzieńką i dopiero zaczynałam zdobywać doświadczenia w sportowej rywalizacji.

Przełomowe były dla mnie również mistrzostwa Polski we wspinaczce sportowej w trójboju olimpijskim. Zawody odbywały się w Krakowie i Tarnowie, trwały łącznie cztery dni! Moje wyniki nie były rewelacyjne, poszło mi raczej średnio, ale to był dla mnie kolejny przełom. Powoli kończyła się moja kariera juniorska i razem z trenerem chcieliśmy się skupić już na rywalizacji seniorów. Odbywały się wtedy kwalifikacje do sezonu, zależało mi na tym, by dostać się do kadry narodowej, więc musiałam dać z siebie jak najwięcej. Po zawodach spakowałam walizki i wyjechaliśmy na dwie imprezy w ramach pucharu świata.

Łatwiej rywalizuje się u siebie? Czy rzeczywiście, jak to na ogół się mówi, gospodarze mają łatwiej?

Uważam, że na gospodarzach spoczywa nieco większa presja, do tego dochodzą nerwy, więc nie do końca zgadzam się ze stwierdzeniem, że gospodarze mają łatwiej. Bardzo się wtedy stresowałam, byłam młodzieńką zawodniczką. Nadal jestem dumna z tego, że podczas tamtych zawodów w Tarnowie wytrzymałam presję i mogłam się pochwalić swoją formą fizyczną.

Widzi pani dużą różnicę pomiędzy obiektami sportowymi w Polsce i na świecie?

Obecnie dużo podróżuję po najróżniejszych zakątkach świata i uważam, że nie ma dużej różnicy, choć oczywiście obiekty w poszczególnych krajach nieco się od siebie różnią. U siebie w Tarnowie trenuję na bardzo dobrej ścianie, która została niedawno wybudowana. Uważam, że nasze obiekty sportowe stoją na bardzo wysokim poziomie. Nie czuję szczególnej różnicy, kiedy trenuję lub rywalizuję za granicą.

Uważam jednak, że do ciężkich treningów wcale nie potrzeba świetnych warunków, ale raczej porządnej motywacji. W klubie sportowym Korona w Krakowie jest ścianka, która była jedną z pierwszych w Polsce. Ona jest dość stara i niewyremontowana, mimo to wychowałam się na niej wielu zawodników, którzy z upływem czasu osiągnęli świetne wyniki na arenie międzynarodowej. Można powiedzieć, że tamta ścianka to swojego rodzaju świątynia ciężkiej pracy.



Do ciężkich treningów wcale nie potrzeba świetnych warunków, ale raczej porządnej motywacji

Czy jakiś inny obiekt w Polsce lub za granicą wywarł na pani szczególne wrażenie?

Ileokroć widzę jakąkolwiek ściankę, to mam już kłapki na oczach i nie liczy się dla mnie nic więcej niż wspinaczka. Wszystko mi wtedy odpowiada, bez względu na warunki, i cieszę się, że będę się dobrze bawić. Niemniej na pewno ważnym dla mnie obiektem jest Centralny Ośrodek Sportu w Zakopanem. Często tam bywam i trenuję. Myślę, że nie byłabym w tym miejscu, w którym jestem teraz, gdyby nie zgrupowania w Zakopanem. Te wyjazdy są coraz częstsze i razem z trenerem dostrzegamy tego wyraźne efekty. To jeden z nowszych ośrodków tego typu. Jest świetnie zorganizowany, nowoczesny, zapewnia dobry dostęp do obiektów sportowych. Mogę tam pojechać na 2-3 tygodnie i w tym czasie żyję tylko sportem, a codzienne sprawy życiowe schodzą na dalszy plan. W Zakopanem mogę się skupić tylko na sporcie, a ciężka praca innych zawodników, którzy tam trenują, jest dla mnie motywująca.

Wszystkie treningi odbywają się na hali, czy trenuje pani również w plenerze?

Często w okresach roztrzewania, na przykład w trakcie wakacji, zdarza mi się wspiąć po skałkach – Małopolska ma pod tym względem naprawdę dużo do zaoferowania. Ostatniego lata byłam w Jaskini Mamutowej pod Kra-

kowem. Bardzo lubię aktywność poza halą. Byłam też w Hiszpanii, tam również się wspięłam.

Często jest pani w rozjazdach?

Bardzo często! Zimą byłam w Białce Tatrzańskiej na obozie studenckim. W Zakopanem bywam przynajmniej raz w miesiącu, do tego studiuję, wyjeżdżam na zawody. Rzadko jestem w domu w swoim rodzinnym mieście, ale pocieszam się tym, że przynajmniej nie jest nudno. Jestem jeszcze młodą zawodniczką i nie mogę sobie pozwolić na rozjazdach, bywa wręcz odwrotnie – gdy za długo siedzę w domu, doskwiera mi nuda. Najchętniej bym się spakowała i gdzieś wyjechała!

Według niektórych statystyk zawodnicy przebywają nawet 250 dni w roku poza domem...

Myślę, że w moim przypadku jest podobnie, ale prawie zawsze wyjeżdżam ze swoją siostrą, więc stale mam przy sobie bliską osobę. Nawzajem się wspieramy i dajemy sobie radę.

Jak to jest trenować z siostrą bliźniaczką i być niemal zawsze razem?

Często słyszymy, że nasza relacja jest specyficzna. Jesteśmy bliźniaczkami, trenujemy ten sam sport, przebywamy non stop razem. Musiałyśmy nauczyć się żyć razem, bo mamy kompletnie inne charaktery. Ale dziś chyba żadna z nas nie wyobraża sobie, że mogłoby być inaczej. Bez mojej siostry nie byłabym tu, gdzie jestem. Jej obecność to dodatkowa dawka motywacji, inspiracji i dobrej zabawy. Do tego mamy z siostrą duże poczucie humoru, więc na treningach nigdy nie jest nudno.

I obydwie panie nadal studiują.

Tak, choć ja studiuję w Tarnowie wychowanie fizyczne na drugim roku, a moja siostra – matematykę. Jej wybór był dla mnie bardzo dziwny! (*śmiech*)

Woli się pani wspiąć na hali czy na ścianach roztawianych na daną okoliczność?

Wolę wspiąć się na hali, ale kiedy widzę, że zawody są na zewnątrz, na specjalnie roztawianej ścianie, to partwarzam sobie, że wolę jednak startować na zewnątrz (*śmiech*).

Czy uprawia pani również inne dyscypliny?

Tej zimy byłam na obozie narciarskim w Białce Tatrzańskiej i uczyłam się jeździć na nartach. Wychodziło mi to już całkiem dobrze, chociaż do perfekcji jeszcze trochę mi brakowało (*śmiech*). Jak jestem w Zakopanem, zdarza mi się jeździć na nartach biegowych – mój trener uważa, że to przydatny ogólnorozwojowy trening. Dla przyjemności włączam też do swojego treningu elementy lekkoatletyki, na przykład bieg przez płotki. ■

Judo – sport dla ciała i umysłu

Paweł Nastula podczas igrzysk w Atlancie (1996) zdobył złoty medal. Na zdjęciu finałowa walka, w której Polak w półtoręj minuty pokonał Koreańczyka Kima Min-soo.



FOT. PAP / EPA

Nie sposób przecenić korzyści, jakie daje uprawianie judo. Ten sport rozwija ciało – w tym siłę, koordynację ruchową i szybkość reakcji – oraz umiejętności społeczne, zdolność współpracy, samoakceptację. Nic zatem dziwnego, że wielu rodziców zapisuje dzieci na zajęcia judo, aby poprawić ich kondycję i samopoczucie, a jednocześnie nauczyć je samokontroli, dyscypliny i szacunku dla innych. Jednak adepci, skupieni na zdobywaniu kolejnych pasów i belek, często zapominają, jak ciekawą historię ma ta dyscyplina.

Z Kraju Kwitnącej Wiśni do Polski

Judo to japońska sztuka walki powstała na przełomie XIX i XX w., której początki sięgają szkoly samurajów. Z kolei początki judo w Polsce są związane z rozwojem ju-jitsu. W latach 30. XX w. elementy ju-jitsu zostały wprowadzone do programu akademii wojskowych oraz do szkolenia polskiej policji państwowej, lecz pierwsze wzmianki o tej dyscyplinie są o kilka dekad starsze: pochodzą z prze-

łomu XIX i XX w., kiedy to polscy studenci wyjeżdżali do Japonii, by kontynuować naukę na tamtejszych uniwersytetach. W Tokio, Jokohamie i Osace zetknęli się z różnymi formami walki Wschodu, w tym z judo, wówczas stosunkowo mało znanym poza Azją. Pierwsze informacje na temat tego sportu dotarły zatem do naszego kraju w listach studentów z Kraju Kwitnącej Wiśni.

Zainteresowanie tą dyscypliną stopniowo rośnie. Pierwsze kluby powstały w Polsce w latach 30., a po II wojnie światowej judo zaczęło się w naszym kraju rozwijać coraz szybciej. W 1957 r. kluby AZS-AWF Warszawa, WKS Legia Warszawa i AZS Kraków założyły Polski Związek Judo. Utworzyły go przy okazji pierwszych oficjalnych mistrzostw kraju w tym sporcie, rozgrywanych w tym roku w Łodzi. Prezesem Związku został Tadeusz Kochanowski. To właśnie on przyczynił się do popularyzacji tej sztuki walki w naszym kraju i nadania jej formy dyscypliny sportowej. Był autorem programów specjalizacji instruktorskich i trenerskich, opracował polskie przepisy walki sportowej judo. Organizował także pierwsze zawody judo i pełnił funkcję sędziego klasy międzynarodowej w mistrzostwach Europy, mistrzostwach świata i na igrzyskach olimpijskich. Kochanowski wychował ponad 300 trenerów judo, którzy następnie szkolili kolejne pokolenia instruktorów i zawodników.

Pierwsze polskie medale

Judo stopniowo zyskiwało popularność w całym kraju: w latach 50. i 60. powstawały kolejne sekcje przy klubach sportowych, a do Polski przybył pierwszy trener

z ojczyzny tego sportu – Masao Watanabe. Być może pierwszy w historii polskiego judo medal na międzynarodowym tatami był właśnie efektem pomocy szkoleniowej japońskiego trenera. Wywalczył go na mistrzostwach Europy w Genewie w 1963 r. Jan Okrój, zdobywając dla Polski brąz. Dwa lata później po kolejny brązowy medal sięgnął na mistrzostwach Europy w Madrycie Kazimierz Jaremczak.

W latach 70. polscy judocy odnosili kolejne sukcesy na arenie międzynarodowej. W 1972 r. z igrzysk olimpijskich w Monachium powrócił ze srebrnym medalem Antoni Zajkowski. Ten sportowiec był jedną z piękniejszych postaci w historii judo: brązowym medalistą mistrzostw świata (1971), dwukrotnym srebrnym medalistą mistrzostw Europy (1969, 1971) i trzykrotnym mistrzem Polski, a po zakończeniu kariery zawodniczej – trenerem i sparingpartnerem Pawła Nastuli.

Pierwsze olimpijskie złoto dla Polski w judo zdobył w 1988 r. w Seulu Waldemar Legień. Powtórzył ten sukces cztery lata później w Barcelonie.

Igrzyska w Seulu okazały się dla polskich kibiców judo wyjątkowo szczęśliwe: srebrny medal wywalczył Janusz Pawłowski. Trenerem kadry była wówczas niezapomniana postać – Ryszard Zieniawa zwany Mistrzem, przez niektórych komentatorów uznawany za najwybitniejszego polskiego trenera judo. Podstawę jego stylu trenerskiego stanowiły ciężka praca, dyscyplina i zaangażowanie, lecz podopieczni wspominali, że trener zawsze starał się dopasować do indywidualnych potrzeb każdego ucznia, aby pomóc mu wydobyc

CZY WIECIE, ŻE...

...pierwszą kobietą, która zdobyła 10. dan, czyli najwyższy stopień mistrzowski w judo, była Keiko Fukuda. Tego zaszczytu dostąpiła w 2011 r., mając... 98 lat. Była wnuczką samuraja i mistrza ju-jitsu, który uczył sztuki walki samego twórcę judo – Jigoro Kano. Z tego powodu Kano zaprosił młodą Keiko do nowo powstającej żeńskiej sekcji judo. Dyscyplinie poświęciła całe swoje życie – w USA założyła szkołę judo, ucząc tej sztuki kolejne pokolenia zawodników.



Keiko Fukuda

ŹRÓDŁO: FLICKR

z siebie maksimum możliwości. Judocy szkoleni przez Zieniawę zdobyli aż 42 medale igrzysk olimpijskich, mistrzostw świata i Europy. Mistrz był jednak najdumniejszy nie z kolejnych indywidualnych zwycięstw, ale z sukcesu drużynowego. W 1986 r. w słynnym japońskim turnieju Jigoro Kano Polacy doszli aż do finału i przegrali tylko z Rosjanami. To mój największy sukces jako trenera. Bo to znaczyło, że mamy świetną drużynę – komentował.

Najstymniejszy polski judoka

Do podopiecznych Ryszarda Zieniawy należy chyba najbardziej znany polski judoka – Paweł Nastula, trzykrotny uczestnik igrzysk olimpijskich, mistrz olimpijski z Atlanty (1996). Ten idol miłośników wschodnich sztuk walki, rocznik 1970, trafił na matę – podobnie jak wielu jego rówieśników – zafascynowany filmem „Wejście smoka” z Bruce'em Lee. Pracowity zawodnik szybko zaczął odnosić sukcesy w mistrzostwach Europy juniorów – w 1989 r. wywalczył brązowy medal w Atenach, rok później powtórzył sukces w Ankarze, a w krajowej rywalizacji wygrał nawet z Legieniem.

Ogromnym rozczarowaniem zarówno dla samego „Nastka”, jak i dla polskiego świata judo był występ na igrzyskach olimpijskich w Barcelonie w 1992 r. Ostatecznie jednak zajął piąte miejsce w swojej kategorii.

Gorycz olimpijskiej porażki ośodził fakt, że w tym samym roku judoka zwyciężył w turnieju Jigoro Kano Cup, stając się pierwszym Polakiem, który zdobył złoto w tych prestiżowych zawodach. Lata 1994–1997 to pasmo nieprzerwanych triumfów Nastuli: został mistrzem olimpijskim w Atlancie, dwukrotnym mistrzem świata oraz trzykrotnym Europy. W sumie judoka zdobył ponad 100 medali na różnych zawodach, co czyni go jednym z najbardziej utytułowanych polskich sportowców w historii. Jego osiągnięcia na arenie międzynarodowej i wkład w rozwój polskiego judo zostały uhonorowane m.in. Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Po zakończeniu kariery sportowej Nastula zajął się trenerką, m.in. prowadził własną szkołę judo. Powrócił na arenę sportową, startując w KSW (Konfrontacji Sztuk Walki), popularnej polskiej organizacji MMA (ang. mixed martial arts, mieszane sztuki walki).

Pierwsza dama polskiego judo

Warto też wspomnieć o pierwszej polskiej medalistce olimpijskiej w judo – Anecie Szczepańskiej. Podczas tych samych igrzysk w Atlancie (1996), w których Nastula zdobył złoto, judoczka wywalczyła srebro. Do tego sportu przyciągnął ją jego orientalny urok: białe kimono, kolorowe pasy i rytualne gesty powitań. Ambitna i pracowita zawodniczka szybko zaczęła osiągać sukcesy. Jednak ten największy, czyli olimpijskie srebro, pozostawił w niej niedosyt. W finałowej walce z Koreanką Cho prowadzi-

łam przez yuko i długo utrzymywałam przewagę. Mogłam to wygrać. Był taki moment, tuż przez jej akcją, gdy prawie padłam, przymierzyłam się do rzutu na plecy. Nabrałam ją i gdybym z większą wiarą poszła do przodu, silniej wstawiła pod nią biodra, wygrałabym walkę przed czasem. Do diabła, tak niewiele brakowało.

Z optymizmem w przyszłość

W ciągu ponad 80 lat historii polskiego judo nasi zawodnicy zdobyli wiele medali na mistrzostwach Europy i świata oraz 8 krążków na igrzyskach olimpijskich. Ich sukcesy to wynik ciężkiej pracy, talentu i determinacji. Trzeba bowiem pamiętać, że judo to nie tylko sport, lecz także sposób na życie, który uczy szacunku dla przeciwnika, samodyscypliny oraz pokory.

Trudno jednoznacznie określić nadzieje polskiej reprezentacji w judo na igrzyskach olimpijskich w Paryżu w 2024 r. – w tej dyscyplinie szczególnie wiele

zależy od formy i dyspozycji zawodników w dniu zawodów. Jednak polska reprezentacja w judo ma na swoim koncie wiele sukcesów na arenie międzynarodowej, co daje podstawy do optymizmu. Warto również zauważyć, że w Polsce rozwija się coraz więcej klubów i sekcji judo, a to oznacza większą liczbę młodych i utalentowanych zawodników.

Źródła:

Waldemar Sikorski, 50 lat polskiego judo. Wymiar olimpijski, Łódź 2009.
<http://judoazsgliwice.pl/home/historia-judo/>
<http://pstjudo.pl/>
<http://web.pzjudo.pl/polscy-medalisci-judo-io>
<https://karatetsunami.eu/pl/index.php?id=69>
<https://olimpijski.pl/olimpijczycy/aneta-maria-szczepanska/>
<https://olimpijski.pl/olimpijczycy/pawel-marian-nastula/>
<https://olimpijski.pl/olimpijczycy/waldemar-legien/>
<https://www.youtube.com/watch?v=EWV1gdChVgg>

Aneta Szczepańska – srebrna medalistka igrzysk olimpijskich w Atlancie.



FOT. KUBA ATYS / AGENCJA WYBORCZA.PL

Trzeba umieć się przepychać i być sprytnym

Rozmowa z Roksaną Słupką, polską triathlonistką

Kwiecień spędziłaś w Arizonie. Co tam robiłaś?

Trenowałam w międzynarodowej grupie w miejscowości Flagstaff. Mieliliśmy tam górski obóz, położony na wysokości 2000 m. To metoda stosowana w dyscyplinach wytrzymałościowych. Po minimum czterech tygodniach w takich warunkach w organizmie zachodzą procesy, które można nazwać legalnym dopingiem: poprawia się wydolność.

Ciężko się tam oddycha?

Właśnie o to chodzi! Treningi na wysokości są mniej intensywne i krótsze, a przerwy częstsze – bo tutaj organizm regeneruje się dużo wolniej niż na dole. Efekt jest taki, że gdy potem zawodnik zjeżdża niżej, trenuje mu się o wiele łatwiej i dzięki temu osiąga lepszy wynik.

Jesteś tuż po udziale w dwóch ważnych imprezach: Wojskowych Mistrzostwach Świata oraz WTCS (World Triathlon Championship Series). Opowiedz coś więcej na ten temat?

Na tych pierwszych zawodach mogą startować jedynie żołnierze. Ja też zostałam powołana, jestem częścią tzw. armii mistrzów. Z kolei WTCS to seria mistrzostw świata, na które składa się pięć wyścigów. To prestiżowe, najtrudniejsze zawody; wyżej w triathlonie są już tylko igrzyska olimpijskie, przy czym poziom jest na nich niższy niż na WTCS, bo startuje mniej zawodników z jednego kraju. W sumie kwalifikacja na IO jest trudniejsza niż sam start.

Dla mnie udział w tych imprezach to przede wszystkim nauka. Każde zawody mają inną dynamikę. Na dłuższych, np. popularnych w Polsce Ironmanach (3,86 km pływania, 180,2 km rower, 42,195 km bieg – przyp. red.), o wyniku

decyduje głównie forma zawodnika. Nie można jeździć rowerem w grupach, liczy się czas. Natomiast na dystansie olimpijskim bywa różnie, jest wiele czynników, na które zawodnik nie ma wpływu: można złapać gumę na rowerze lub mocno kogoś uderzyć w wodzie podczas pływania.

To się często zdarza w „pralce”?

Tak! Trzeba pamiętać, że pływanie w triathlonie odbywa się na otwartych zbiornikach, np. jeziorach. Na linii startu znajduje się ok. 60 osób i nie ma lin, które by je oddzielały. Wszyscy wpadają razem do wody i muszą oplotnąć rozstawione boje. W takiej sytuacji nietrudno o wpywanie na siebie, ciągnięcie się za ręce, barki, głowę. Nie jest to dozwolone, ale nie sposób tego uniknąć. Zawodnicy kottują się jak w pralce, stąd nazwa.

Czyli powinno się mieć mocne łokcie?

Trzeba umieć się przepychać i być sprytnym, oczywiście z szacunkiem dla rywali. Zresztą to chyba dla wszystkich jest najmniej ulubiony fragment wyścigu. Najlepiej mają ci, którzy są wysoko w rankingu, bo dostają pierwsze numery startowe i stoją na krańcu linii startu, a tym samym unikają „pralki”. Środkowi zawodnicy, z niższymi numerami startowymi, na pewno do niej trafią.

Podczas wyścigu kolarskiego zawodnicy też tłoczą się w grupie?

Podobnie. Najlepsze są kilkusobowe grupy. W tych dużych ryzyko kraksy jest spore, poza tym są wolniejsze, szczególnie na technicznych trasach.

Z tego wynika, że triathloniści są chyba bardziej narażeni na kontuzje niż inni sportowcy.

Coś w tym jest. W mojej dyscyplinie częste są tzw. złamania zmęczeniowe, mnie też się zdarzały. Co prawda

nie są tak bolesne jak zwykle – zresztą sportowcy mają wyższy próg bólu – ale trudno pogodzić się mentalnie z tym, że traci się treningi, starty i nikt nie czeka, aż wróci się do formy.

Czy to prawda, że pływacz od pierwszej klasy podstawówki?

Tak, i przyznaję, że na początku niezbyt to lubiłam. Woda w basenie była dla mnie zimna (śmiech). Jedną z nauczycielek zasugerowała rodzicom, że mam dryg do pływania. Zapisali mnie na dodatkowe zajęcia sportowe (UKS) – i tak się zaczęło.

Rodzice pchali cię do sportu czy zostawili ci wolny wybór?

Jestem im wdzięczna za to, że zostawili mi wolną rękę. W pierwszej klasie, gdy zbliżała się godzina wyjścia na basen, siedziałam cichutko w nadziei, że zapomnę. I często się udawało! A potem, kiedy już to polubiłam i wstawałam o 5.00, ojciec mówił: „Roksanko, odpocznij sobie dzisiaj...”. Chodziłam do normalnej szkoły i na UKS, nie skorzystałam z propozycji przejścia do szkoły sportowej o profilu pływackim. Byłam lojalna, przez co musiałam biegać tam i z powrotem ze szkoły (bydgoska „66”) do klubu „Piętnastka”. Ale dziś nie czuję, że coś poświęciłam czy straciłam dzieciństwo, bo klub organizował fajne sportowe obozy – pływacki i narciarski – podczas wakacji i ferii.

Na początku kariery pływackiej sukcesy przychodzą powoli. To cię motywowało czy wręcz przeciwnie?

Byłam z tych, którzy ciężko pracują i od czasu do czasu zdobywają jakiś medal. Trener Robert Strzałka bardzo to chwalił, nazywał mnie mrówką. To on wpoił mi, jak ważne są wytrwałość, systematyczność i cierpliwość. Jego uznanie było dla mnie równie istotne jak trofea.

Wciąż śledzi twoje sukcesy?

Tak. Był triathlonistą amatorem i to dzięki niemu zaczęła się moja przygoda w tej dyscyplinie. Kilka razy zabrał nas na wyścigi aquathlonowe (pływanie i bieg – przyp. red.). Pierwszy raz wystartowałam w nich jako 10-latką. W gimnazjum spróbowałam triathlonu i poszło bardzo szybko: udało mi się od razu wygrać zawody, pojechałam na pierwsze mistrzostwa Europy i świata juniorów. W pływaniu nigdy nie miałam takich osiągnięć.

Który z sukcesów z tamtego czasu cenisz najbardziej?

W karierze juniorskiej najważniejszy był pierwszy start w tureckiej Alanyi w 2018 r. – byłam jeszcze juniorką, a startowałam w pucharze Europy z seniorami. Zajęłam drugie miejsce i to było moje pierwsze podium, rok po tym, jak zaczęłam przygodę z triathlonem. To miłe uczucie – reprezentować swój kraj.

Niedługo później pojawiła się szansa dołączenia do międzynarodowej grupy Paulo Sousy. Pamiętajasz moment wyjazdu z Polski do Portugalii?

Gdy jechałam pociągiem na lotnisko, dzwoniłam do mojej sąsiadki i płakałam. Bardzo się bałam, przeżywałam



CZY WIECIE, ŻE...

...pierwsze oficjalne zawody w triathlonie zorganizowano w San Diego w 1974 r. Na igrzyskach olimpijskich ta dyscyplina zadebiutowała w 2000 r. w Sydney. Pierwsze zawody w Polsce odbyły się w 1984 r. w Poznaniu. Na dystansie: 50 km (jazda na rowerze), 1,5 km (pływanie) i 20 km (bieg) wystartowało 137 uczestników, w tym trzy kobiety. Zwycięzcą pierwszych polskich zawodów był Jan Olesiński – mistrz świata w pięcioboju nowoczesnym, olimpijczyk z Moskwy z 1980 r.



Jan Olesiński

FOT. EUGENIUSZ WARMIŃSKI / EAST NEWS



ŹRÓDŁO: ARCHIWUM PRYWATNE ROKSANY SŁUPEK

Medalistki pucharu Europy w Yenisehir (2022). Pierwsza z prawej, z brązowym medalem - Rokšana Słupka.

mnóstwo emocji. Miałam 19 lat, przez niemal całe życie mieszkalam z rodzicami – i nagle jechałam w nieznaną, do obcych ludzi, do zawodników o wiele lepszych ode mnie. Nie znałam dobrze języka, nie wiedziałam, jak poradzić sobie finansowo. Musiałam rozmawiać z potencjalnymi sponsorami, by sfinansować wyjazd. Ale trudne decyzje zawsze wiążą się z podobnymi emocjami. To jedna z tych, z których jestem najbardziej dumna, bo sporo ryzykowałam.

Ryzyko się optało?

Tak. Drużyna, do której jechałam – i do której do dziś należę – ma dużo gwiazd. Wszyscy mi pomagali i bardzo się rozwinęłam sportowo. Teraz jestem dużo bardziej doświadczona, sporo się nauczyłam i nadal się uczę.

Bywasz w rodzinnej Bydgoszczy?

Rzadko, najczęściej na święta. W całym roku mam dwadzieścia tygodni odpoczynku od treningów, najczęściej w grudniu. Zdarza się wtedy, że jeśli ktoś proponuje mi wizytę w szkole, idę i opowiadam o triathlonie.

O co pytają?

Co to za sport, jaki dystans, jak drogi jest rower, jak szybko jeździmy... Widzę, że ta dyscyplina jest w Polsce coraz popularniejsza i dzieci wiedzą o niej coraz więcej.

Rozmawiacie również o idolach sportowych? Kto był twoim?

Jako dziecko zawsze oglądałam zawody z Otylią Jędrzejczak. Gdy stała na podium, to była dumna... I Michael Phelps, który bił wówczas wszystkie rekordy w pływaniu. Jako dorosła osoba podziwiam Roberta Lewandowskiego. Imponuje mi jego skromność. Uważam, że sportowcy, niezależnie od dyscypliny, są mądrymi, inspirującymi ludźmi. Podziwiam ich i zawsze jestem ich ciekawa. Lewandowski odniósł sukces, ale wielu jest takich, którzy włożyli mnóstwo wysiłku i pracy i mają cechy mistrza, choć nie stają na podium.

Co byś poradziła młodym ludziom, którzy chcą trenować triathlon?

Żeby spróbowali. Nie będą żałować!

Jakie cechy są ważne w tej dyscyplinie?

Cierpliwość, umiejętność ciężkiej, systematycznej pracy oraz niepoddawanie się. Ktoś o słabej psychice nie wytrwa: tu częściej jest pod górkę niż z góry.

Na pewno słyszałaś o programie Polskiego Związku Triathlonu dla młodych triathlonistów – Talent ID.

Wiem, że związek próbuje szukać talentów i pomagać im. To nie jest proste, bo zimą nie można trenować, ale mam nadzieję, że coraz więcej dzieci będzie chciało próbować. Podstawa to umiejętność pływania. Dzieci zazwyczaj zaczynają od aquathlonu, rower wchodzi potem, bo to już inwestycja w sprzęt.

Dużo?

Na początek wystarczy rower szosowy ze sklepu sportowego, to koszt ok. 2 tys. złotych. Jestem zdania, że kiedy się zaczyna, nie liczy się marka, tylko zapał i wytrwałość. Trzeba próbować! Nawet jeśli dziecko nie zostanie zawodowcem, to będzie uprawiać trzy dyscypliny sportu, a to będzie kształtował jego charakter. Poza tym pozna wielu fajnych rówieśników. Nie każdy musi od razu być olimpijczykiem... □ ■

Roksana Słupka

Urodziła się w 1999 r. w Bydgoszczy. W szkole podstawowej trenowała pływanie i startowała w zawodach aquathlonowych. W 2017 r. zaczęła trenować triathlon. Rok później zdobyła 2. miejsce w pucharze Europy w Alanyi, 4. miejsce w mistrzostwach Europy juniorów w Tartu, 5. miejsce w pucharze Europy w Olsztynie i mistrzostwo Polski juniorów. Jako seniorka startowała m.in. w pucharach świata (2021, Haeundae: 4. miejsce), pucharze Europy (2022, Yenisehir: 3. miejsce), zdobyła też mistrzostwo Polski w 2020 r. Ponadto brała udział w najbardziej prestiżowych seriach mistrzostw świata (WTCS). Od trzech sezonów trenuje w międzynarodowej grupie Paulo Sousy (Portugalia). Obecnie jest zawodniczką CWZS. Ma szansę na kwalifikację na igrzyska w Paryżu w 2024 r.



Roksana Słupka

FOT. EXPA / EIBNER-PRESSEFOTO / KOHRING / NEWSPIX.PL



Na starcie etapu pływackiego.

Droga jeźdźców do medalu na igrzyskach w Paryżu w 1924 r.

Paryż, 27 lipca 1924 r. Ostatni dzień igrzysk olimpijskich. Na wypetnionym niemal po brzegi stadionie Colombes zasiadają znamienici goście: prezydent Francji Gaston Doumergue, twórca nowożytnych igrzysk baron Pierre de Coubertin, książę Walii i przyszły król Edward VII, cesarz Etiopii Hajle Syllasje I. Wszyscy przybyli, by zobaczyć ostatnią konkurencję igrzysk: skoki przez przeszkody.

Na parkurze miało się pojawić 43 jeźdźców. Tor był wymagający: miał 16 przeszkód o rozmiarach dochodzących do 140 cm wysokości i 4 m szerokości. Francuzi dodatkowo utrudnili zadanie olimpijczykom, zasypując powierzchnię grubą warstwą piasku. Konie się przewracały, miały problemy z odbiciem. Ostatecznie żaden z uczestników nie zaliczył bezbłędnego przejazdu.

Polskie zmagania

Polskich jeźdźców było czterech. Major Kazimierz Szosland dwukrotnie upadł i mocno się potłukł, ale ukończył przejazd i zajął 32. miejsce. Nieco lepiej poradził sobie por. Zdzisław Dziadulski: wywalczył 28. lokatę, choć jego Zefer miał opinię słabego konia.

Podpułkownik Karol Römmel uplasował się na 10. miejscu. Były to drugie igrzyska w jego karierze – w 1912 r. startował w Sztokholmie jako reprezentant Rosji. Miał nawet szanse na tytuł mistrzowski, lecz jego koń poślizgnął się na przedostatniej przeszkodzie. Römmel wskutek wypadku złamał sześć żeber, jednak mimo bólu wstał i półprzytomny dokończył przejazd. Nie zdobył więc medalu – ale na pewno zyskał szacunek wśród Szwedów, z królem Gustawem V na czele. Dość powiedzieć, że władca tak bardzo przejął się losem jeźdźcy, że postanowił odwiedzić go w szpitalu i wręczyć mu kopię olimpijskiego krążka.

W Paryżu historia jakby zatoczyła kolo: Römmel na początku zaliczył wpadkę, ale potem było wspaniale. Jego koń, Faworyt, obiekt drwin, gnał jak natchniony, tyle że w ostatnim fragmencie przejazdu zabrakło mu sił. Nie potrafił już tak żwawo pokonywać kolejnych przeszkód, zaliczył kilka zrzutek. A szkoda, bo doświadczony olimpijczyk mógł powalczyć o wyższe miejsce.

Polak na podium

Tego dnia najlepszym z Polaków okazał się Adam Królikiewicz. Jechał na swoim ulubieńcu, Picadorze. Obaj ruszyli mocno. Jeździec wiedział, że to ostatnia szansa na olimpijski medal, i szedł jak burza. Do dziewiątej przeszkody miał nawet złoto. Niestety, zrutka i cztery punkty karne sprowadziły go na ziemię. W „Kurierze Polskim” redaktor Wacław Sikorski pisał tak:



Kłpa polska na międzynarodowe zawody hippiczne w Londynie, 1925 r. Widoczni m.in.: por. Kazimierz Szosland (1. z prawej), rtm. Henryk Dobrzański (2. z prawej), ppłk Karol Römmel (3. z prawej), rtm. Adam Królikiewicz (1. z lewej).

Pierwszy z naszych ukazał się w bramie Maratonu bohater z Nicei por. Królikiewicz. Na odgłos dzwonka ruszył naprzód. Stary kilkunastoletni „weteran taborowy” – Picador, stulwisy uszy, szedł śmiało na przeszkody, zrucując zaledwie dwie i trzecią biorąc powtórnie. Brauwrowa i pełna fantazji jazda por. Królikiewicza nagrodzona została hucznymi oklaskami.

Ostatecznie Królikiewicz i Picador wywalczyli brązowy medal olimpijski i biało-czerwony sztandar zatrzepotał nad paryskim stadionem. Mistrzem olimpijskim został Alphonse Gemuseus na Lucette, drugie miejsce zajął Tommaso Lequio di Assaba, dosiadający Trebecco. Królikiewicz wspominał:

Przynosząc mi tytuł drugiego wicemistrza i brązowy medal w skokach na Olimpiadzie w Paryżu, Picador zakwalifikował się tym samym na trzeciego konia świata, a powinien być drugim. Przez niewybaczalne przeoczenie olimpijskiego jury Polska straciła wtedy srebrny medal... Świetnemu jeźdźcowi włoskiemu kapitanowi Lequio została podczas przebiegu na stadionie Colombes udzielona pomoc przez fotografa, który w pewnym momencie podtrzymał spadającego z konia Włocha, wsadzając go z powrotem w siodło.

Przepisy zabraniały podobnych praktyk, mimo to sędziowie nie zareagowali.

Co ciekawe, do dziś nie ma pewności, czy Królikiewicz nie był pierwszym Polakiem, który zdobył medal na igrzyskach olimpijskich. Przyjęto się, że to kolarze

torowi: Tomasz Stankiewicz, Franciszek Szymczyk, Józef Lange i Jan Łazarski jako pierwsi w dziejach polskiego sportu stanęli na olimpijskim podium. Jednak relacje z paryskich igrzysk nie były precyzyjne, a zawody na kolaskim torze i na parkurze rozgrywano o podobnej porze...

Z wojen na igrzyska

Hippika rozwijała się nad Wisłą wyjątkowo efektywnie i efektywnie. Po zakończeniu I wojny światowej w 1918 r. Polacy odzyskali niepodległość. Dwa lata później musieli bronić jej przed najeźdźcą ze wschodu. Te wydarzenia umocniły legendę rodzimej kawalerii: polscy ułani nie dość, że byli odważni i bitni, to jeszcze wyśmienicie jeździli konno. Po zakończeniu konfliktów zbrojnych właśnie wokół ułańskich pułków powstawały twory, które współcześnie nazwalibyśmy „klubami sportowymi”.

W pierwszej połowie 1920 r. najlepsi polscy sportowcy przygotowywali się do olimpijskiego debiutu w Antwerpii. Jeźdźcy, w większości mężczyźni będący w armii, również. Podobnie jak wszyscy zmagali się z problemami natury organizacyjnej i sprzętowej. Największym był brak dobrych koni – dosiadali głównie taborowych albo służących wcześniej na frontach. Królikiewicz sportową karierę rozpoczął w Jaśkiem, austriackim wierzchowcem zarekwirowanym w okolicy Włodawy. Zwierzę trafiło do 1 Pułku Ułanów w 1918 r. i tam poznało nowego właściciela. Ale w 1920 r. para dopiero się uczyła. Królikiewicz



CZY WIECIE, ŻE...

...z powodu niedostatecznych zasobów finansowych ograniczono liczbę reprezentantów Polski w jeździectwie na igrzyska w Paryżu (1924). Do stolicy Francji nie mógł się udać choćby prezentujący odpowiednio wysoki poziom rtm. Michał Woysym-Antoniewicz. Użyzył jednak drużynie swojej klacz Lady, z której w olimpijskich zawodach skorzystał Kazimierz Suski. Gest jeźdźcy docenił 2 Pułk Szwoleżerów Rokitniańskich, finansując wyjazd swojego rotmistrza do Paryża w roli obserwatora.



Michał Woysym-Antoniewicz

ŹRÓDŁO: NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

przyglądał się wówczas treningom kadry na warszawskiej Agrykoli.

Po każdym takim podglądaniu pędziłem do koszar, wyciągałem ze stajni Jaśka, cierpliwą ofiarę moich sportowych uniesień i zapędów, by na dużym placu ćwiczebnym pułku, niestety bez instruktora, powtarzać kolejno to samo, co widziałem za parkanem Agrykoli. W ten sposób obaj z Jaśkiem z dnia na dzień osiągnęliśmy coraz lepsze wyniki – pisał jeździec po latach.

Zawody hippiczne cieszyły się w tym czasie sporą popularnością w stolicy. Organizowali je Karol Römmel, Sergiusz Zahorski i Tadeusz Daszewski, którzy przygotowywali kadrę do startu na igrzyskach – chcieli wyłowić na nich kolejne talenty. Na jednych, rozgrywanych na Polu Mokotowskim, pojawił się właśnie Królikiewicz z Jaśkiem. Licznie zgromadzona publika brała wntczas udział w totalizatorze. Za 20 marek postawionych na Adama można było zgarnąć aż 20 razy więcej w przypadku jego wygranej. Ci, którzy zaryzykowali, przecierali oczy ze zdumienia. Byli blisko: debiutant zajął drugie miejsce! Wygrał Römmel.

Na igrzyska olimpijskie do Antwerpii nie pojechał jednak ani Adam, ani żaden inny polski sportowiec. Większość walczyła w wojnie z bolszewikami. Dopiero po zwycięskim Cudzie nad Wisłą można było myśleć o rywalizacji na stadionach czy torach.

Przed Paryżem

Po zakończeniu wojny z Rosją Sowiecką w 1921 r. Królikiewicz trafił pod skrzydła Römmela, wówczas zastępcy dowódcy 1 Pułku Szwoleżerów. Robił ogromne postępy, mimo że sam nie uważał siebie za wybitnego jeźdźcy, i ostatecznie trafił do reprezentacji. W kwietniu 1923 r. kadra wyjechała na zagraniczne zawody do Nicei. Podróż trzyosobowej ekipy z końmi trwała 11 dni. Warto było poświęcić aż tyle czasu, by dotrzeć na miejsce. Zahorski, Römmel i Królikiewicz spisali się bowiem wyśmienicie: w konkursie drużyn o Puchar Narodów uplasowali się tuż za Włochami. Później wyjechali do Rzymu, gdzie równie mocno zaznaczyli swoją obecność w europejskim jeździectwie.

Biorąc pod uwagę, że w każdym z tych konkursów międzynarodowych brało udział zawsze więcej jak po sto doskonałych koni i żeby otrzymać choćby najmniejszą odznaczenie, trzeba było przebyć cały parcours bez najmniejszego błędu, a o miejscach decydowała tylko szybkość, którą żeby osiągnąć, potrzeba nie tyle już sprawności jeźdźcy, ile klasy konia – rezultat ogólny musimy uważać za znakomity – ocenił redaktor Jaworski w „Jeźdźcu i Hodowcy”.

Rozwój jeździectwa w Polsce był wtedy imponujący. Pięć lat po odzyskaniu niepodległości polscy jeźdźcy zaczęli odnosić międzynarodowe sukcesy, zdobywać dziesiątki nagród. Na kilka tygodni przed startem w Paryżu

olimpijczycy pojechali do Lucerny i zwyciężyli w klasyfikacji narodów. Polskie konie, w tym wyciągnięty z taboru uparty Picador Królikiewicza, zachwyciły szwajcarskich (i nie tylko) obserwatorów. Fundamenty pod sukces na igrzyskach w stolicy Francji były zatem solidne. Ale hippika to sport, tu nigdy nie ma pewności.

Po Paryżu

Chociaż polscy jeźdźcy nie zaspokoiли swoich sportowych ambicji i nie byli zadowoleni z olimpijskiego występu – oprócz medalu Królikiewicza zajęli szóste miejsce w skokach przez przeszkody drużynowo i siódme we wszechstronnym konkursie konia wierzchowego (WKKW) – poolimpijska przyszłość krajowego jeździectwa rysowała się w jasnych barwach. Na igrzyskach w Amsterdamie w 1928 r. zdobyli srebro drużynowo w skokach przez przeszkody (w składzie Michał Woysym-Antoniewicz, Kazimierz Gzowski i Kazimierz Szosland) oraz brąz w WKKW (Michał Woysym-Antoniewicz, Józef Trenkwałd i Karol Römmel).

Do Los Angeles nasi jeźdźcy już nie pojechali, bo rok 1932 był czasem kryzysu ekonomicznego. Kolejne zdobycze olimpijskie przyszły w Berlinie w 1936 r.: w skład „srebrnej” drużyny wchodził wówczas Henryk Leliwa-Roycewicz, Seweryn Kulesza oraz Zdzisław Kawecki.

Kto wie, jak daleko pogalopowałyby ten sport, gdyby nie wybuch II wojny światowej. Jeśli po ataku Niemiec na nasz kraj możemy mówić o straconym pokoleniu sportowców, to hippika jest jedną ze straconych dyscyplin.

Źródła wykorzystanych w tekście cytatów:

- T. Jaworski, *Sami nie wiecie co posiadacie*, „Jeździec i Hodowca” 1923, nr 23, s. 186.
- A. Królikiewicz, *Olimpijska szarża*, Kraków 1992.
- D. Lis, *Stulecie przeszkód. Polacy na igrzyskach*, Warszawa 2022.
- W. Sikorski, *Polscy jeźdźcy na Olimpiadzie*, „Kurier Polski” 1924, nr 212, s. 3.
- B. Tomaszewski, *Ostatni szwoleżer*, [w:] *Poczet polskich olimpijczyków 1924–1984*, Warszawa 1984.



Adam Królikiewicz podczas zawodów w skokach przez przeszkody, 1924 r.

ŹRÓDŁO: NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Monika i Tadeusz Michalikowie. Rodzeństwo na wiele medali

Wystarczy na nich spojrzeć, by poczuć zastrzyk energii. Oboje mają jej mnóstwo, co widać i słysząc. Może dlatego, że rodzeństwo Monika i Tadeusz Michalikowie praktycznie zawsze musiało działać szybko i energicznie: żeby w tak dużej rodzinie wszystko grało jak w zegarku i wystarczyło czasu na treningi w oddalonym o kilka kilometrów miasteczku. Od dziecka pracowaliśmy bardzo intensywnie na gospodarce. To wyrobiło w nas wszystkich, a jest nas dziesięć, charakter wojownika – opowiadała Monika w wywiadzie dla „Przeglądu Sportowego”.

Przypnijmy, że na świecie jest niewiele rodzeństw, które sięgnęły po olimpijskie medale. W Polsce udało się to na przelocie lat 70. i 80. braciom Lipieniom – także zapaśnikom. W roku 1972 Kazimierz wywalczył brąz na igrzyskach w Monachium, a cztery lata później w Montrealu dodał do kolekcji złoto. Z kolei jego brat bliźniak Józef zdobył srebro podczas igrzysk w Moskwie w 1980 r. Po kilkudziesięciu latach ich sukces powtórzyli Michalikowie.

Monika, rocznik 1980

Zawsze ciągnęło ją do sportu, ale w okolicy trenowano tylko piłkę nożną i zapasy. Wybrała więc te drugie. Na szczęście! Monika Michalik to jedna z najbardziej utytułowanych polskich zapaśniczek: jest brązową medalistką olimpijską (Rio de Janeiro 2016), dwukrotną medalistką mistrzostw świata, czterokrotną mistrzynią Europy i czternastokrotną mistrzynią Polski. Wszystkie sukcesy poprzedzone były wytrwałą pracą, a często również rozczarowaniami.

Najpierw Trzciel, miasteczko oddalone o kilka kilometrów od rodzinnego Jasieńca w Lubuskim – to tam Monika jeździła na treningi. Najczęściej na rowerze i zawsze po odrobionych lekcjach i pracy w gospodarstwie – inaczej tato by nie pozwolił. Nauczyła się więc szybko wykonywać obowiązki, bo zapasy pokochała i za nic nie chciała opuszczać spotkań w Orleńskich Trzciel. Motywował ją trener Piotr Troczyński, który dostrzegał jej wielki atut: siłę, ale wymagał żelaznej dyscypliny. Razem szybko odnieśli sukces – już w drugim roku swojej przygody z zapasami (1999) Monika Michalik została mistrzynią Polski juniorów. Rok później drobna, niebieskooka blondynka obroniła tytuł mistrzowski kraju, potem wywalczyła pierwszy medal na międzynarodowej arenie – wicemistrzostwo Europy juniorów w Sofii. Wyznała wtedy, że jej marzeniem jest usłyszeć Mazurkę Dąbrowskiego, stojąc na podium. Dość szybko je spełniła: w 2003 r. po raz pierwszy została mistrzynią Europy.

Mundurowa na macie

Do kariery sportowej i walecznego temperamentu zapaśniczka dopasowała życiową drogę: została zawodowym żołnierzem. Świetnie odnalazła się w armii. Do stopnia kaprala sił powietrznych awansowała w ramach służby w Wojskowym Zespole Sportowym w Poznaniu, a szlify oficerskie zdobywała w 17 Wielkopolskiej Brygadzie Zmechanizowanej.

Połączenie munduru i maty okazało się szczęśliwe: w kolejnych latach Monika Michalik regularnie zdobywała następne medale. Ma ich imponującą kolekcję. Z mistrzostw Europy – cztery złote, trzy srebrne i cztery brązowe, z mistrzostw świata – dwa brązowe i aż czternaście złotych medali mistrzostw Polski. Także z wojsko-



Monika i Tadeusz Michalikowie

wych mistrzostw świata zapaśniczka przywozila jeden złoty oraz dwa srebrne krążki.

Olimpijskie marzenie

Kariera Moniki Michalik rozwijała się niemal jak marzenie. Niemal, bo przyszło jej długo czekać na najważniejszy sukces: olimpijski. O kwalifikacje walczyła już przed igrzyskami w Atenach w 2004 r., lecz bezskutecznie. Po raz pierwszy pojechała na igrzyska do Pekinu cztery lata później. Doszła do ćwierćfinału i przegrała na punkty z Francuzką Lise Golliot-Legrand. W 2012 r. w Londynie rywalizowała już o medal – i przegrała brąz z Rosjanką Lubow Wołosową. Dziennikarzowi „Przeglądu Sportowego” opowiadała:

Mogłam przecież zalać się po tym olimpijskim niepowodzeniu i rzucić sport. [...] Kiedy uzyskałam olimpijską kwalifikację [do Rio de Janeiro], to stwierdziłam, że do niczego się nie nadaję. Może byłam przetrenowana. Jeszcze na kilka tygodni przed igrzyskami strasznie przegrywałam. Brakowało mocy. Zastanawiałam się, po co jadę do Rio de Janeiro. Miałam duże wątpliwości. Rozpoczęłam jednak pracę z psychologiem Mikołajem Koterskim i dosłownie rostałam w oczach. Fizycznie i psychicznie.

Niemniej nie wszystko szło jej jak z płatka. Podczas igrzysk w Rio Monika Michalik przegrała pierwszą walkę w 1/8 finału z Japonką Risako Kawai. Kiedy ta dotarła do finału, otworzyło to Polce szansę na występ w repasażach, a ostatecznie dało upragniony olimpijski krążek.

Brązowy, lecz zapaśniczka uważa rok 2016 za swój złoty czas i ukoronowanie kariery sportowej. Podkreśla, że kolor medalu nie ma dla niej znaczenia – liczy się olimpijska dekoracja i to, że przeszła do historii.

W 2020 r. Michalik zakończyła karierę zawodniczą, ale nie rozstała się z zapasami: została trenerką. Ze wzruszeniem przyjęła informację o nadaniu jej imienia nowej hali sportowej w Trzciel, gdzie stawiała pierwsze kroki. Poza tym oczywiście kibicuje bratu.

Tadeusz, rocznik 1991

W jednym z telewizyjnych materiałów po kwalifikacjach na igrzyska olimpijskie w Tokio Tadeusz Michalik wjeżdża na plan traktorem. I to wcale nie nowoczesną zabawkę, lecz brązowym „pyrkaczem”, jakich już coraz mniej na polskich wsiach. Traktor należy do pana Mariana, taty Michalików, a olimpijczyk właśnie skończył pomagać przy zwożeniu stomy. Pomaga, bo lubi. Kocha wieś, gdzie się urodził, pracę fizyczną, no i oczywiście tatę.

Rodzice Michalików mieli we wsi Jasieniec spore gospodarstwo: krowy, świnię, kury, pole uprawne. Dzieci pomagały w obejściu oraz na roli i, jak to w dużych rodzinach, opiekowały się sobą nawzajem. Tadeusza na treningi zabrał do pobliskiego Trzciela starszy brat Paweł. Tadzio miał wtedy 10 lat i zapasy bardzo mu się spodobały. Ćwiczyła je także Monika i... no cóż, kładła go na matę.

CZY WIECIE, ŻE...

...sport zapaśniczy kobiet pojawił się w programie igrzysk olimpijskich dopiero w 2004 r. w Atenach. Różni się od zmagania mężczyzn tym, że nie ma w nim podziału na style – klasyczny i wolny. Rywalizacja przypomina styl wolny męskich zapasów, ale niedozwolone w niej są niektóre chwytty. Nie można np. stosować szczególnie niebezpiecznego dla przeciwnika podwójnego nelsona, czyli zakładać pod ramieniem oburącz klamry na kark.



Mistrzostwa Polski w zapasach kobiet, Siedlce, 2009 r.

ŹRÓDŁO: DOMENA PUBLICZNA

Trener Mieczysław Kuryś z klubu Orleń Trzciel wspomina Tadeusza jako zawodnika wyjątkowo pilnego, takiego, który nie opuszcza i nie odpuszcza, zapamiętałe pracuje, by osiągnąć wyznaczony cel. Tadeusz traktował zapasy jak coś więcej niż rozrywkę i szybko został zawodnikiem Argosu Żary, z którym w 2009 r. wziął udział w pucharze Polski. Rok później znów zmienił barwy klubowe – na KS Sobiński Poznań. Dzięki wielkopolskiemu klubowi ambitny zawodnik rozwinął skrzydła i w 2012 r. po raz pierwszy stanął na najwyższym stopniu podium mistrzostw Polski. Tytułu mistrza bronił w latach 2014, 2016, 2017 i 2020. W 2019 r. podczas mistrzostw świata w Astanie (wówczas Nur-Sułtan) wywalczył kwalifikację na igrzyska olimpijskie w Tokio.

Trudna droga na igrzyska

Wydawałoby się, że sportowy świat stoi przed nim otworem. Tymczasem na początku 2020 r. Tadeusz usłyszał w Rzymie diagnozę: wrodzona wada serca i arytmia. Przygotowywał się już do igrzysk olimpijskich, gdy lekarze zalecili wykonanie zabiegu ablacji. Młody zawodnik potraktował przygotowania do operacji zadaniowo, podobnie jak wyzwania w sporcie. Zabieg przeprowadzono w maju 2020 r. Niestety nie przyniósł spodziewanego rezultatu i trzeba było go powtórzyć w przykrych, koronawirusowych okolicznościach.

Niespodziewanie to właśnie pandemia umożliwiła polskiemu zapaśnikowi start w wymarzonych igrzyskach w Tokio. Olimpijskie zmagania zostały bowiem przerożone na 2021 r., a Tadeusz z żelazną konsekwencją stosował się do zaleceń lekarzy i trenerów, byle tylko wrócić do formy i wziąć udział w imprezie. Przygotowywał go znakomity trener, mistrz olimpijski z Atlanty (1996), Włodzimierz Zawadzki.

Udało się! Tadeusz poleciał do stolicy Japonii, choć na koniec nie brakło stresu – startował w wyższej niż dotychczas kategorii wagowej: 97 kg, nie 87 kg. Oznaczało to, że będzie walczył z zawodnikami cięższymi o blisko 10 kg. Zaufał jednak trenerowi.

Przed ekranami telewizorów i komputerów ścisła kciuki cała rodzina. Zapaśnik nie zawodził nadziei: w 1/8 finału pokonał Tunezyjczyka Hajkala al-Aszuriego, a w ćwierćfinale poradził sobie z Amerykaninem Tracym Hancockiem. Niestety w półfinale przegrał z potężnym reprezentantem Rosji Musą Jewtojewem, i to aż 1:7. Nic więc dziwnego, że walka o medal wzbudziła w rodzinie Michalików ogromne emocje. Monika oglądała ją w studiu TVP i przyznała potem:

Oglądając go w akcji, miałam większe emocje niż wówczas, gdy sama walczyłam. Było to zresztą po mnie widać: skakałam po studio, biegłam. Jestem wdzięczna bratu za to, że odjął mi nieco stresu i załatwił sprawę właściwie już w pierwszej minucie.

Pięknie skomentował swój medal sam Tadeusz: *Gdybym wiedział, że jadę na stracenie, to bym nie pojechał. Zawsze trzeba walczyć o zwycięstwo. Robię to od 20 lat. Przed walką o brązowy medal pomyślałam sobie, że to wisienka na torcie. Nagroda za te lata treningów.* ■

Źródła wykorzystanych w tekście cytatów:

D. Brilowski, Tokio 2020: olimpijskie rodzeństwo. „Łącznie jest nas dziesięć, ale Tadek jest do mnie najbardziej podobny”, 3 VIII 2021, <https://sport.tvp.pl/55192660/monika-michalik-po-sukcesie-brata-jest-nas-dziewiecioro-a-tadek-jest-do-mnie-najbardziej-podobny>.
T. Dębek, Tokio 2020. Tadeusz Michalik: Trenuję zapasy od 20 lat. Walka o medal olimpijski była wisienką na torcie, 3 VIII 2021, <https://sportowy24.pl/tokio-2020-tadeusz-michalik-trenuje-zapasy-od-20-lat-walka-o-medal-olimpijski-byla-wisienka-na-torcie-rozmowa/ar/c2-15739844>.
T. Kalemba, Monika Michalik, czyli krew, pot i łzy. Trudna i długa droga do marzeń, 6 V 2020, <https://przegladportowy.onet.pl/zapasy/zapasy-monika-michalik-historia/twdbtrv>.



Igrzyska olimpijskie w Rio de Janeiro, 2016 r. Monika Michalik cieszy się ze zwycięstwa i brązowego medalu w kategorii 63 kg.

FOT. BARTŁOMIEJ ZBOROWSKI / PAP

75 lat temu wystartował Wyścig Pokoju

Przez wiele lat Wyścig Pokoju ściągał przed odbiorniki – najpierw radiowe, później też telewizyjne – niezliczone rzesze kibiców kolarstwa. Bez wątplenia była to jedna z tych imprez sportowych, która rozpałała ogromne emocje – kibiców i zawodników. Sukcesy Polaków przyczyniły się do popularyzacji kolarstwa, a najlepsi zawodnicy stali się idolami młodych adeptów dwóch kółek.

Francuzi mają swoje Tour de France, Włosi Giro d'Italia, a Hiszpanie Vuelta a España. Nie byłoby tych wielkich wyścigów, gdyby nie pomysłowi dziennikarze, odpowiednio z „L'Auto”, „La Gazzetta dello Sport” i „Informaciones”. To oni, chcąc zwiększyć sprzedaż swoich tytułów, zorganizowali pierwsze edycje wieloetapowej rywalizacji kolarzy. Okazało się to strzałem w dziesiątkę.

Z Wyścigiem Pokoju było podobnie. W 1946 r. Zygmunt Dall, dziennikarz „Głosu Ludu”, czyli organu prasowego Polskiej Partii Robotniczej, spotkał się ze swoim kolegą po fachu z Czechosłowacji, redaktorem „Rudého práva” Janem Blechą. Rozmawiali o wielkiej sportowej imprezie, która mogłaby się odbyć na terytorium obu państw. Początkowo myślano o rajdach samochodowych lub motocyklowych. Ostatecznie wybór padł na kolarstwo, sport dla mas. Bo przecież na rowerze potrafią jeździć niemal wszyscy...

Po akceptacji pomysłu przez władze państwowe ustalono trasę I Międzynarodowego Biegu Kolarskiego Warszawa-Praga-Warszawa: kolarze ścigali się jednocześnie ze stolicy Polski do stolicy Czechosłowacji i odwrotnie. Start zaplanowano na 1 maja 1948 r. – nieprzypadkowo, bo święto pracy, po wojnie zawłaszczane przez komunistów, co roku było przez nich hucznie obchodzone.

Pierwsze koty za płoty

W dniu dzisiejszym odbędzie się na Placu Zwycięstwa w Warszawie honorowy start do wyścigu kolarskiego Warszawa-Praga. W tym samym dniu ze stolicy Czechosłowacji wyruszą kolarze do Warszawy. Zainteresowanie imprezą osiągnęło stopień nietowarowy dotychczas w kronikach sportu polskiego – tymi słowami 75 lat temu dziennikarz zapowiadał premierowe etapy. Na rowery w polskiej stolicy wsiadli kolarze z Bułgarii, Czechosłowacji, Jugosławii, Polski, Rumunii i Węgier; w sumie 65 zawodników.

Około godz. 10.30 Włodzimierz Gołębiowski dał sygnał do startu. Pierwszy dzień na trasie w Warszawie do Łodzi, liczącej 190 km, był emocjonujący. Kolarze startowali w towarzystwie tłumy kibiców, wyposażonych we flagi uczestniczących państw i zagrzewających do jazdy. Niemal w każdym większym mieście grały orkiestry.



Przed startem pierwszego etapu I Wyścigu Pokoju, Warszawa, 1 maja 1948 r.

W powietrzu czuło się atmosferę sportowego święta. Nie obyło się jednak bez wpadek czy protestów.

Od pierwszych kilometrów tempo peletonowi nadawali zawodnicy czechosłowaccy. Było tak mocne, że jeden z nich, niejaki Magula, nie wytrzymał i zwolnił. W pewnym momencie tracił do grupy prawie pół kilometra. Wtedy w okolicach Okęcia przed peletonem zamknął się szlaban kolejowy. Kolarze zatrzymali się i czekali na przejazd taboru, a w tym czasie Magula zdążył do nich dołączyć i nieco odpocząć.

Niespodziankę chcieli sprawić cyklistom mieszkańcy Siestrzenia, którzy ustawili przy szosie stół, a na nim karafkę z wodką i kilkanaście apetycznych kanapek. Ku ich zdziwieniu ani jeden z uczestników nie skorzystał z poczęstunku.

Ostatecznie etap padł łupem Jana Veselega z Czechosłowacji. Popularny „Honza” był najszybszy na finiszu. Polacy nie spełnili pokładanych w nich nadziei: najlepszy z Biało-Czerwonych Ryszard Kudert zajął piąte miejsce. W równoległym etapie z Pragi do Pardubic wygrał Milan Poredski z Jugosławii.

Kolejne dni przyniosły więcej radości kibicom znad Wisły. Polacy, jadący na rowerach włoskich lub rodzimych bałtyckich, okazali się najlepszą drużyną drugiego dnia. Bolesław Napierata, Wacław Wójcik, Marian Rzeźnicki i Henryk Czyż brali aktywny udział w ucieczkach. We Wrocławiu linię mety jako pierwszy przejechał Jugosłowianin August Prosenik, ale w pierwszej dziesiątce znalazło się aż sześciu Biało-Czerwonych.

Czas pokazał, że drugi etap był decydujący. Prosenik – który zwyciężył później w klasyfikacji generalnej – miał na trasie więcej szczęścia niż dotychczasowy posiadacz żółtej koszulki, Veselý. Czech zmagając się z defektami roweru i tracąc przez to cenne minuty; nie zdołał ich odrobić.

Szczęśliwymi dla naszych etapami okazały się te oznaczone cyfrą III. Na stadionie Organizacji Młodzieży

Towarzystwa Uniwersytetu Robotniczego w Jeleniej Górze kibice szaleli z radości na widok pędzącego Lucjana Pietraszewskiego. Polak wygrał i zapisał się w historii. W równoległej rywalizacji z Brna do Zlina najszybszy był Wacław Wrzesiński. Warto dodać, że w obu wyścigach drużynowo prowadzili Polacy, w naszym obozie panowała więc radość. Inaczej niż u Jugosłowian, którzy na czechosłowackich drogach stracili dwóch zawodników. Trifunovic uległ ciężkiemu wypadkowi: pędził blisko 60 km/h, gdy zgubił przednie koło, wskutek czego przeleciał przez kierownicę i wylądował w przydrożnym rowie. Nieprzytomnego kolarza natychmiast przewieziono do szpitala. Jego kolega z kadry, Horvatic, również znalazł się pod opieką lekarzy po tym, jak zemdlał na trasie.

Jakby na ostatek po tych przykrych wydarzeniach oba wyścigi pierwszej edycji Międzynarodowego Biegu Kolarskiego Warszawa-Praga-Warszawa zakończyły się indywidualnymi wygranymi zawodników z Jugosławii. Natomiast drużynowo to Polska nie miała sobie równych. I zyskała nowych bohaterów.

Nie ulega najmniejszej kwestii, że do zwycięstwa drużynowego Polski w wyścigu Praga-Warszawa w 80 proc. przyczynił się Józef Kapiak. Popularny „Szpagat” szczególnie w ostatnim etapie Kielce-Warszawa „trzymał” całą drużynę i „ciągnął” ją przy sobie, poświęcając swoje szanse zajęcia lepszego miejsca w ogólnej klasyfikacji indywidualnej – relacjonował redaktor „Głosu Ludu”.

Impreza z 1948 r. stała na bardzo wysokim poziomie sportowym i dla wszystkich było jasne, że potrzebne są kolejne edycje.

W końcu Polak!

Kolejne lata przyniosły kilka zmian. Od 1949 r. nie było już dwóch równoległych wyścigów. W 1952 r. jednym z organizatorów został wschodniemiecki dziennik



CZY WIECIE, ŻE...

...Polacy w Wyścigu Pokoju w 1970 r. byli tak mocni, że we własnym gronie ustalali, kto ma wygrać dany etap rozgrywany na terenie kraju. Na ogół zwycięzcą zostawał kolarz wywodzący się z regionu, w którym akurat kończyła się odłona wyścigu. I tak we Wrocławiu triumfował Ryszard Szurkowski, w Poznaniu – Zenon Czechowski, a w Bydgoszczy – Andrzej Kaczmarek. Nie udało się tylko w Warszawie, gdzie Zygmunt Hanusik zajął drugie miejsce.



Zenon Czechowski (z lewej) i Ryszard Szurkowski po zakończeniu etapu we Wrocławiu, 17 maja 1970 r.

FOT. TADEUSZ DRANKOWSKI / PAP

„Neues Deutschland”, dzięki czemu kolarze mogli ścigać się po szosach NRD. Jedno pozostawało niezmiennie: indywidualnej klasyfikacji generalnej nie potrafił zwyciężyć kolarz z Polski. Czy świadczyło to o słabości rodzimego kolarstwa? Nie. Raczej o sportowej jakości Wyścigu Pokoju, który zyskał status najważniejszego amatorskiego wyścigu kolarskiego w Europie.

Zła karta odwróciła się w dziewiątej edycji imprezy, w 1956 r. Na podzielonej na 12 odcinków trasie z Warszawy przez Pragę do Berlina najrówniej jechał Stanisław Królak. Urodzony w 1931 r. sportowiec regularnie meldował się w czołowej dziesiątce poszczególnych etapów. Ośmy odcinek, z Lipska do Karl-Marx-Stadt, wygrał – i od razu założył koszulkę lidera. Zwycięstwo wywołało euforię wśród kibiców, a rodzina Królaka udzielała wywiadów prasowych. W jednym z nich, dla krakowskiego „Echa”, teściowa kolarza mówiła:

Pewna jestem, że nasza dzisiejsza radość nie jest ostatnią. Jeśli pojedzie tak dalej, oby tylko bez defektów, to we wtorek Praga powita go jako zwycięzcę. Na razie cieszymy się zwycięstwem naszego chłopca i jego drużyny.

Te słowa okazały się prorocze: Staszek do końca jechał dobrze, mądrze, szczęśliwie i ambitnie. Jedną z miejskich legend mówi o walce, jaką Polak miał prowadzić z reprezentantem ZSRS. Ponoć w tunelu obaj okładali się pompkami, które były wówczas nieodłącznym elementem wyścigowego ekwipunku. Czy to prawda? Królak nigdy nie potwierdził tej historii. Ani jej nie zdementował...



Stanisław Królak (1931–2009)

FOT. TADEUSZ DRANKOWSKI / PAP

We wtorek 15 maja 1956 r., po przejechaniu ponad 2 tys. km, polski kolarz wygrał cały wyścig. Był niezwykle szczęśliwy, ale i wdzięczny: *Dziękuję wszystkim moim kolegom za moje zwycięstwo, do którego walnie się przyczynili. Cieszę się z odniesionego sukcesu* – powiedział po dekoracji. Z miejsca stał się idolem młodych adeptów tej dyscypliny.

Złote lata

Wielką postacią nie tylko Wyścigu Pokoju, lecz także polskiego kolarstwa w ogóle był Stanisław Gazda. W latach 60. niemal każdy dzieciak słuchający transmisji z trasy chciał jeździć jak kolarz bielskiego Startu. Jeden z najpiękniejszych momentów w historii zmagania na trasach Polski, Czechosłowacji i NRD to finisz Gazdy na bieżni Stadionu Śląskiego, wypelnionej 90 tys. kibiców, podczas piątego etapu Wyścigu Pokoju 1960, z Krakowa do Katowic. Polak pokonał wtedy wysmienitego sprintera wschodniemieckiego Manfreda Weisledera. Inny były uczestnik Wyścigu Pokoju, Mieczysław Wilczewski, który po zakończeniu zawodów przysłuchiwał się rozmowie Gazdy z redaktorem „Trybuny Robotniczej”, zwrócił się bezpośrednio do zwycięzcy słowami:

Stasiu, jesteś w świetnej formie i jeszcze nieraz usłyszysz o tobie zwolennicy kolarstwa. Proszę napisać, iż wróżę Staszce przywdzianie żółtej koszulki! Pech naszej ekipy musi się w końcu skończyć, przecież jest nie do pomyślenia, by towarzyszył nam od startu do mety! Prześluduje on zresztą zawodników, których nazwiska zaczynają się na „P”. Staszce nic więc nie powinno grozić!

Wilczewski jednak się mylił: Gazda, choć wybitny, nigdy nie wygrał klasyfikacji generalnej. Ale i on, podobnie jak Królak, był idolem.

Niespełna dekadę później na starcie Wyścigu Pokoju pojawił się chłopak, dla którego Gazda stanowił wzór. Nazywał się Ryszard Szurkowski. W swojej *Autobiografii* pisał on tak:

Zaraziłem się rowerem w maju. Wyścig Pokoju. (...) Były to czasy Stanisława Gazdy, Jana Kudry, Bogusława Fornalczyka. Każdy z nas, wzorując się na bohaterach kolarskich wyścigów, zwał się Gazda, to znów Kudra i pędził po drogach na złamanie karku.

Szurkowski został legendą Wyścigu Pokoju. Hegemonem. W pierwszej potowie lat 70. wygrał go czterokrotnie. Co prawda jego wyczyn pobit Steffen Wesemann, lecz zrobił to w latach 90. i 2000. a zatem w czasach, gdy poziom sportowy imprezy bardzo spadł.

Urodzony w 1946 r. w Świebodowie Szurkowski wygrał w sumie 13 etapów. Już w swoim debiucie w 1969 r. był drugi w „generalce”. Warto też zwrócić uwagę, że osiągnięcia Szurkowskiego nie byłyby tak duże, gdyby nie jego rywalizacja z innym Polakiem: Stanisławem Szozdą. To on wygrał aż 14 etapów w Wyścigu Pokoju,

a w 1974 r. triumfował. Szozda był i zmorą, i zbawieniem Szurkowskiego.

Koniec lat 60. i lata 70. to złote czasy polskiego kolarstwa. Kilku wybitnych zawodników pozostawało wówczas w cieniu geniuszy. Wśród nich Zenon Czechowski, krzesiokrotny etapowy zwycięzca Wyścigu Pokoju, czy Krzysztof Sujka, znakomicie radzący sobie w górach.

Kolejne lata były dla Polski i Wyścigu Pokoju mniej obfite w sukcesy. Wygrana Lecha Piaseckiego w 1985 r. była ostatnim podrygiem polskiego kolarstwa doby PRL. Po 1989 r. i przemianach ustrojowych znaczenie Wyścigu zaczęło maleć. Stał się reliktem poprzedniej epoki, poza tym wielu „amatorów” ze Wschodu przeszło na zawodowstwo. W 2000 r. Polak, Piotr Wadecki, dowiózł żółtą koszulkę do mety po raz ostatni. Sześć lat później największa i najpopularniejsza impreza sportowa we wschodniej Europie umarła... Polacy wspominają ją do dziś, honorując sukcesy wielkich kolarzy tamtej epoki i oklaskując sukcesy ich następców.

Źródła wykorzystanych w tekście cytatów:

Po sześciu latach znów runda honorowa polskiego kolarza na Śląskim stadionie, „Trybuna Robotnicza” 1960, nr 109, s. 6. Start, „Głos Ludu: pismo codzienne Polskiej Partii Robotniczej” 1948, nr 120, s. 6. R. Szurkowski, K. Wyrzykowski, K. Wolnicki, Ryszard Szurkowski. Wyścig. Autobiografia, Kraków 2019. Wierzę w Staszka, „Echo Krakowa” 1956, nr 111, s. 1.



Ryszard Szurkowski (1946–2021)

FOT. PAP / GAF

Krakowski Klub Kajakowy. KKK, czyli kto lubi eskimoski

21 lat temu został otwarty tor kajakarstwa górskiego przy ul. Kolnej w Krakowie, wtedy też odbyły się na nim pierwsze zawody. Dziś Krakowski Klub Kajakowy ma wśród swoich zawodników wielu medalistów, a na samym obiekcie – jedynym tej klasy w Polsce – organizuje m.in. mistrzostwa świata. Obecnie KKK przygotowuje się do Igrzysk Europejskich.

Zima im niestraszna

Pierwsza grupa, ustawcie się tyłem do mnie, reszta na chwilę na bok. Na początek zrobimy sobie wiostowanie do przodu, tylko zwróćcie uwagę na prawidłową technikę. Niech to będzie siedem-osiem pociągnięć, wyhamować łódkę, cofnięcie, i z powrotem do przodu, jedziemy! – instruuje trener. Na „starej” odnodze Wisły kołyszają się sportowe kajaki, w każdym z nich nastolatek w piance i kasku. To młodziki KKK podczas jednego z treningów.

Daleko do przodu sięgamy, wyprostowana sylwetka, nie odchylamy się do tyłu. Plecy proste! Do drzewa i z powrotem, jedziemy – pilnuje trener.

Mamy koniec kwietnia, w powietrzu +16° stopni, w wodzie +5°. Zimno? Zimno to jest w zimie! – śmieją się młodzi zawodnicy. Jedenastoletni Igor pływa od dwóch lat. Teraz to już z górki, gorzej było w marcu – uściśla, dopinając „fartuch”, chroniący tułów i nogi kajakarza przed zalaniem. Najpierw tył, potem boki i przód – pokazuje.

Z kolei Kasia dziś ćwiczy na kanadyjce (kajak, w którym się kłęczy, zamiast siedzieć). Startuje w dwóch konkurencjach i zdarzało jej się skąpać w lodowatej wodzie. O to nietrudno, gdy się trenuje eskimoskę (obrót kajaka wzdłuż własnej osi o 360 stopni – a więc z obowiązkową kąpielą).

Wczoraj nam się eskimoska nie udała i trzeba było opuścić kajak – mówi Igor Sztuba, trener młodzików w KKK. Gdy ktoś utknie z głową w dół, trzeba go ratować. Mimo pianki, którą ma na sobie zawodnik, przyjemnie nie jest. W tym sporcie bywa i tak. Teraz młodzież trenuje na sierpniowe mistrzostwa Polski młodzików. Po cichu liczą na medale – wyznaje trener.

W namokniętym swetrze

Sztuba zaczynał swoją przygodę z kajakarstwem na rzece Kwisie w miejscowości Leśna na Dolnym Śląsku. Trenerem był jego ojciec, Bogdan. Odpowiednie warunki do trenowania panowały tam tylko wiosną: gdy w górach topniały śniegi, woda wzbierała na odpowiedni poziom. Temperatura powietrza wynosiła czasem kilka stopni i Sztubie też zdarzało się w niej skąpać. Teraz wspomina ze śmiechem: Pamiętam, że trenowałem w dresiku i swetrze. Kiedy namóknął, niemal tonąłem razem z nim i z kajakiem. Sam kajak był toporny i ciężki: 20 kg, trochę podziurawiony.

Obecnie młodzi zawodnicy mają profesjonalne pianki, pelerynki i sprzęt podobny do tego, którym dysponują mistrzowie świata, zaś kajaki, wykonane z włókna węglowego, są lekkie – ważą poniżej 7–8 kg. Koszt jednego to ok. 10 tys. zł, a trenującym w KKK zapewnia je klub. Chętnych nie brakuje, zaś trener nie może się ich nachwalić: Młodzi, którzy tu przychodzą, wiedzą po co. Są zmotywowani, chętni do pracy i to jest fajne. Dziś np. trójka z nich przyszła tak sobie, żeby poćwiczyć, choć trening mają kiedy indziej.



Tadeusz Kuchno

FOT. SEBASTIAN KRÓK

Kajakarz musi być wszechstronny, dlatego zawodnicy szkolą się w różnych dziedzinach: biegają, chodzą na klubową siłownię, mają trening ogólnorozwojowy i gimnastyczny. Do tego pływanie w basenie. Ćwiczą też balans i równowagę na piłkach gimnastycznych (takich jak do pilatesu), bo praca z ciężarem własnego ciała jest bardzo ważna. Z kolei zimą jeżdżą na obozy w góry i biegają na nartach.

Po dwóch-trzech latach treningów młodzież łapie bakcyła, a sport staje się pasją. Mają swoje cele i wzory do naśladowania, bo świetnych zawodników w Polsce nie brakuje – tłumaczy Sztuba. Wśród nich: jego brat Kacper, zawodnik z AZS AWF Kraków, mistrz świata juniorów, wicemistrz świata i wicemistrz Europy U23.

Kajakarskie sławy z Krakowa

Obecnie w KKK trenuje ok. 50 zawodników we wszystkich kategoriach wiekowych. Klub może się pochwalić tym, że wychował wiele kajakarskich sław. Jedną z nich jest Aleksandra Stach, mistrzyni (2018) i wicemistrzyni (2019) seniorów w konkurencji C-2Mix (wraz z Marcinem Pochwałą, również zawodnikiem KKK). Do klubu trafiła, bo przyjaciółka nie chciała trenować sama...

Teraz jej kolega z podium został jej szkoleniowcem. Jest bardzo wymagający, i dla mnie, i dla juniorów

– śmieje się Ola. Zawodniczka chwali atmosferę w klubie, warunki, trenerów. Obecnie szykuje się do startu w sierpniowych mistrzostwach świata. Przyjadą najlepsi zawodnicy, bardzo wysoka stawka. Już się nie mogę doczekać – deklaruje.

Tadeusz Kuchno, zwycięzca plebiscytu As Małopolski, który ostrzy sobie zęby na igrzyska w Paryżu w 2024 r., do KKK trafił w wieku 12 lat. W 2020 r. zdobył złoto na mistrzostwach Europy juniorów (drużynowo), indywidualnie był czwarty (ze stratą 0,01 sek!). Zawody odbyły się na Kolnej w Krakowie. Kuchno jest wielkim orędownikiem kajakarstwa górskiego:

To zdecydowanie niedoceniana dyscyplina. A trenować może każdy, kto lubi wodę – i nie trzeba zaczynać bardzo wcześnie; większość dzieci zaczyna w wieku 10–12 lat. Po dwóch latach treningów mogą już doganiać najlepszych w Polsce. Ten sport nie daje może wielkich pieniędzy, ale na pewno szczęście i satysfakcję.

Jedyny taki

Tor przy ul. Kolnej pełni funkcję Ośrodka Przygotowań Olimpijskich Polskiego Związku Kajakowego. Ma też jedyną w Polsce rampę do nowej konkurencji – kajak cross (dyscyplina ta zadebiutowała na igrzyskach w Paryżu). Rampa ma kształt daszka. Czterech zawodników w kaja-

CZY WIECIE, ŻE...

...kajakarstwo górskie stało się dyscypliną olimpijską w Monachium w 1972 r. Mistrzostwa świata rozgrywane od 1949 r. Pierwszymi polskimi medalistami tej imprezy zostali (w konkurencji K-1 drużynowo) w 1961 r. Władysław Piecyk, Jan Niemiec i Eugeniusz Kaptaniak. Najbardziej utytułowanymi Polakami w tej dyscyplinie sportu pozostają natomiast Jerzy Jeż i Wojciech Kudlik, którzy w dwójce wywalczyli sześć krążków światowego czempionatu, w tym złoto w 1979 r.



Jerzy Jeż i Wojciech Kudlik podczas igrzysk olimpijskich w Monachium w 1972 r.

ŹRÓDŁO: IMAGO SPORT AND NEWS / EAST NEWS

kach ustawia się na niej, kiwa się i „skacze” – ześlizguje się do wody. To konkurencja nastawiona na show, adrenalina – bardziej widowiskowa niż klasyczny slalom. W jej trakcie zawodnik musi także zrobić eskimoskę.

Zbudowany na Wiśle tor z betonu ma długość 320 m, standardową dla toru do kajakarstwa slalomowego (górskiego; klasyczna konkurencja). Takich obiektów jak nasz nie ma więcej w Polsce. Tylko u nas przeprowadza się zawody rangi międzynarodowej. Szykujemy się na czerwcowe Igrzyska Europejskie, w sierpniu będą kolejne mistrzostwa Polski oraz mistrzostwa świata juniorów U23 (do 23 lat) – mówi Piotr Pachel z działu marketingu KKK. I dodaje, że 15 m³/s to maksymalna prędkość wody na torze. Do zawodów wystarczy średnio 11–12 m³/s. W naturalnych warunkach w Polsce takie prędkości osiąga niewiele rzek, stąd popularność naszego toru – podkreśla.

Oprócz crossa i klasycznego slalomu na Kolnej można też poćwiczyć tzw. freestyle. Podobnie jak w przypadku nart

dyscyplina charakteryzuje się tym, że zawodnicy w czasie spływu muszą wykonywać różne akrobacje, np. zanurzenie się razem z kajakiem, podskoki nad wodą. Na razie jest mało popularna – nie ma jej wśród dyscyplin olimpijskich.

Obiekt przy ul. Kolnej jest całoroczny. Zimą trenuje się tu pod specjalnym namiotem, a ciepły nawiew ogrzewa zawodników. Bo wtedy również odbywają się tutaj zawody: slalom mikotajkowy oraz noworoczny – w weekend, gdy gra Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy.

Obecnie przy torze trwa lifting przed Igrzyskami Europejskimi, tzw. piaskowanie toru (czyszczenie). Prace zostaną przerwane, gdy pojawią się kolejni trenujący.

Rano byli tu zawodnicy kadry, przed zawodami w Liptowskim Mikulaszu. Po południu przychodzi kolejna grupa. W weekendy pojawiają się grupy z innych krajów, które nie mają podobnych torów w sobie. Albo tacy, którzy chcą się zapoznać z torem, na którym będą

rozgrywane zawody. To sportowcy z Serbii, Austrii, Ukrainy, Wielkiej Brytanii, Irlandii – wylicza Pachel.

Bo tor wypadła poznać. Każde dotknięcie palika to 2 sek. kary, każde pominięcie bramki – 50 sek. kary (a to w zasadzie eliminuje zawodnika). Najlepsi mijają bramki o włos, wiedzą, jak się ustawić do każdej z nich, dobrze „czytają wodę”. To wymaga zapoznania się z torem już wcześniej – wyjaśnia Pachel. By uniknąć pomyłek, przy każdej bramce znajduje się stanowisko sędziego, są też zamontowane kamery.

Poza zawodnikami slalomu na Kolnej urządzają sobie także komercyjni uczestnicy – z okazji wieczorów kawalerskich czy spotkań z pracy. Potem jest piknik, ognisko z kiełbaskami. Chcemy być atrakcyjni również dla takich odbiorców. Gdy pogoda dopisuje, na nasze imprezy przychodzi spora publiczność z Krakowa. To nas bardzo cieszy, bo chcielibyśmy, by kajakarstwo stało się bardziej popularne – podkreśla Pachel.



Aleksandra Stach

FOT. SEBASTIAN KRÓK

Sukcesy zawodników Krakowskiego Klubu Kajakowego

Igrzyska olimpijskie w Rio de Janeiro 2016:

- Natalia Pacierpnik – 11. miejsce (K-1K)
- Piotr Szczepański i Marcin Pochwała – 5. miejsce (C-2M)

Mistrzostwa świata:

- 2015: Piotr Szczepański i Marcin Pochwała – 7. miejsce (C-2M)
- 2018: Aleksandra Stach i Marcin Pochwała – 1. miejsce (C-2Mix)
- 2019: Aleksandra Stach i Marcin Pochwała – 2. miejsce (C-2Mix), Krzysztof Majerczak – 3. miejsce (K-1M×3 – sztafeta)
- 2021: Tadeusz Kuchno, Jakub Brzeziński, Jarosław Zaziąbło – 4. miejsce na U23 (K-1 – slalom)
- 2022: Natalia Pacierpnik – 3. miejsce (K-1×3 – sztafeta, z Klau-dią Zwolińską i Dominiką Brzeską)

Mistrzostwa Europy:

- 2014: Piotr Szczepański i Marcin Pochwała – 2. miejsce (C-2M)
- 2017: Piotr Szczepański i Marcin Pochwała – 6. miejsce (C-2M)
- 2018: Bartosz Czauderna – 2. miejsce (freestyle)
- 2019: Aleksandra Stach – 6. miejsce (C-1K), Krzysztof Majerczak – 10. miejsce (K-1M)
- 2020: ME juniorów – 1. miejsce drużynowo



Wydawca: Fundacja Instytut Łukasiewicza
ul. Jaskółcza 4/1, 30-105 Kraków, tel. 12 340 93 70, fax 12 340 93 71
e-mail: info@instytutlukasiewicza.pl
www.instytutlukasiewicza.pl

Zespół redakcyjny: Maciej Zdziarski, Przemysław Mazur, Filip Paluch, Magdalena Pawłowicz, Grzegorz Skatka, Magdalena Stoktosa, Dorota Stolecka, Aleksandra Wójcik

Autorzy zaproszeni do współpracy: Marta Bosak, Marta Paluch, Tomasz Sowa
Projekt graficzny i skład: Jacek Zwolski, Tomasz Żytko

Druk: Drukarnia Sosnowiec Polska Press Sp. z o.o.

Projekt dofinansowany ze środków Ministerstwa Sportu i Turystyki w ramach Programu „Sport dla Wszystkich”.



Ministerstwo Sportu i Turystyki

Sport to coś pięknego

– rozmowa z **Magdaleną Śliwą**, siatkarką, rekordzistką pod względem liczby meczów rozegranych w reprezentacji Polski, dwukrotną mistrzynią Europy (2003, 2005)

Jakie były początki pani kariery sportowej?

Wszystko zaczęło się od zajęć SKS w szkole podstawowej, bodajże w czwartej klasie. Rok później byłam już uczennicą klasy o profilu sportowym pod patronatem Wisły Kraków. W liceum grałam jako zawodniczka Wisły i jako siedemnastolatka zadebiutowałam w Ekstraklasie. To było dla mnie wielkie przeżycie, bo niewiele siatkarek ma szansę grać w lidze w tak młodym wieku.

Czyli już w wieku 17 lat zaczęła pani zawodowo uprawiać sport?

Tak. Wymagało to ode mnie wielu poświęceń. Żeby pogodzić naukę z treningami, uczyłam się w szkole zaocznej. Codziennie rano miałam indywidualne treningi na nowej hali treningowej Wisły Kraków. Dziś ten obiekt wygląda zupełnie inaczej, ale doskonale pamiętam okres, gdy oddano go do użytku. Wtedy nie było zbyt wielu hal sportowych w Krakowie. Nie mogłam zagrać na Hutniku, bo to był obiekt zarezerwowany wyłącznie dla męskiej siatkówki, żeńska działała tylko w Wiśle.

Jaka atmosfera panowała wtedy w klubie?

Cała bracia wiślacka była jedną wielką rodziną. To były lata 80. i 90. Wszyscy dobrze się znali, chodziliśmy wspólnie na mecze, panowała wspaniała atmosfera! Co roku spotykaliśmy się na wigiliach lub innych uroczystościach. Dzięki tej integracji zawodniczki, którym wcześniej tylko podawałam piłkę, stały się moimi koleżankami z boiska. Tak było z panią Józją Ledwigową czy Romą Karolczyk. Gdy zakończyły karierę, nadal utrzymywały kontakt z klubem i widywałyśmy się właśnie na okolicznościowych spotkaniach.

Wiśła w tamtych czasach była dla nas jak dom. Do tej pory wzruszam się, ilekroć wchodzę na teren obiektów klubu. W Wiśle zaczęłam karierę, jako juniorka grałam w podstawowym składzie. Z zespołem junierek wywalczyłam wicemistrzostwo oraz mistrzostwo w Spartakiadzie. Później kontynuowałam karierę w innych klubach, również za granicą, a gdy po latach wróciłam do Wisły, było to dla mnie wielkie przeżycie. Ten klub do dziś jest bardzo bliski memu sercu.

Czy siatkówka cieszy się popularnością wśród młodych osób?

Tak! Jestem zaskoczona tym, jak wiele dzieciaków chce grać w siatkówkę. W grupie naborowej Wisły jest około 40 dzieci. Dziś siatkówka – zarówno męska, jak i kobieca – cieszy się większą popularnością niż w czasach, kiedy ja trenowałam. Dziś siatkówkę można niemal codziennie oglądać w telewizji. Może nie jest to jeszcze nasz sport narodowy, ale mam wrażenie, że należy do pierwszej trójki – tuż po piłce nożnej i skokach narciarskich. Mimo że nie gram już od paru lat, ludzie w dalszym ciągu rozpoznają mnie na ulicy, pamiętają nasze „Złotka” i sukcesy, które odniosłyśmy.

To właśnie dzięki tym sukcesom Polacy bardziej zainteresowali się siatkówką?

Myślę, że tak, w końcu każdy chce oglądać zwycięstwa. Od dłuższego czasu świetnie funkcjonują też szkoły mistrzostwa sportowego, co roku widać przyrost utalentowanej młodzieży. System szkolenia w tych szkołach działa, co potwierdzają wyniki naszych drużyn – panowie od paru ładnych lat utrzymują poziom i są naszą dumą narodową. Na dziewczyny jeszcze chwilę trzeba poczekać, ale wszystko idzie w dobrym kierunku.

Przez lata grała pani w wielu halach w Polsce i za granicą. Czy widać różnicę pomiędzy polskimi kibicami a tymi z innych krajów?

Nasi kibice są bardzo pozytywnie zakręceny – takich kibiców jak u nas nie ma nigdzie na świecie! Dość powiedzieć, że za granicą tylko raz zdarzyło mi się zagrać przy pełnej hali kibiców. To było w Turcji, rozgrywałyśmy mecz o mistrzostwo Europy. Trybuny były jednak nieduże, nie sposób porównać tamtego obiektu do naszej Tauron Areny. Nie będzie przesadą, jeśli powiem, że w Polsce zawsze gra się przy pełnych halach. Nawet moi znajomi, którzy nigdy nie uprawiali sportu, regularnie kupują bilety na mecze siatkówki. Ludzie kochają nie tylko sport, ale też atmosferę, która panuje na hali. Kibice są niezwykle radośni, lubią się przebierać. To dzięki nim każdy mecz staje się prawdziwym świętem siatkówki. Dla zawodnika ma to olbrzymie znaczenie, bo gramy nie tylko dla siebie, ale przede wszystkim dla kibiców – to dla nich jest to całe show.

Atmosfera na trybunach pomaga poradzić sobie z presją?

Każdy zawodnik inaczej odbiera emocje z zewnątrz. Często pytano mnie, czy słyszałam śpiew kibiców albo to, jak krzyczano do mnie z trybun. Tyle że ja zawsze się wyłączałam. Nie przeszkadzało mi to, co działo się na widowni, i skupiałam się na grze. Mimo to zupełnie inaczej gra się na hali, która tętni życiem, niż na takiej, która jest cicha i dość pusta.

Czy któryś obiekt sportowy zrobił na pani szczególne wrażenie?

Każdy obiekt sportowy ma swoją duszę. Ilekroć wchodzę na dowolną halę lub stadion piłkarski, czuję, że jest to świątynia sportu, że to miejsce tętni życiem. Hala to w końcu nasze miejsce pracy, jest dla nas niemal jak dom. Mam niezwykły sentyment do Wisły i zawsze czuję dreszczyk emocji, gdy ją odwiedzam.

W jaki sposób spędza pani dziś czas wolny?

Uwielbiam spacerować, zwłaszcza jak jest ciepło, a moim ulubionym miejscem wędrowek są okolice Ojcowa. Są tam piękne krajobrazy! Bardzo lubię też Las Wolski, spaceruję



FOT. ANDRZEJ BANAS

Magdalena Śliwa

od Kopca Kościuszki do Kopca Piłsudskiego, zahaczając po drodze o zoo.

Których sportowców ceni pani szczególnie?

Moimi idolkami były Lidia Pozłutko i Lucyna Kwaśniewska. Uwielbiałam je! Grały na dwóch różnych pozycjach, ale były dla mnie wzorem do naśladowania, a potem zostały moimi koleżankami na boisku. Jako młoda dziewczyna podawałam im piłki na meczach Wisły i przy okazji oglądałam rozgrywki, zwłaszcza że drużyna Wisły Kraków walczyła wtedy o medale. Żałuję tylko, że nie miałam okazji zobaczyć Józji Ledwigowej na boisku – jej karierę znam jedynie z opowiadań i książek. Dziś można od rana do wieczora śledzić czyjeś osiągnięcia, kiedyś tak nie było...

Jak to się stało, że pani córka jest również siatkarką?

Cała nasza rodzina ma związek ze sportem i w takim otoczeniu dorastała moja córka. Nie chciałam się z nią rozstawać, więc zabierałam ją na zgrupowania reprezentacji – a te niekiedy trwały pół roku! Piłka od najmłodszych lat była więc jej ulubioną zabawką. Siatkówka tak się jej podobała, że gdy trzygodzinny trening dobiegał końca, córka była zdziwiona, że to już koniec. W końcu sama zdecydowała, że chce trenować – i tak się zaczęło. Jestem z niej dumna i cieszę się z jej wyboru, bo uważam, że sport to coś pięknego, a do tego kształtuje charakter – zawodnik spotyka się z różnymi problemami, z którymi musi sobie poradzić.

Jak przez lata zmieniły się możliwości uprawiania sportu amatorskiego i profesjonalnego?

Dziś możliwości jest wiele. Mamy kluby sportowe z tradycjami, organizacje i stowarzyszenia, które prowadzą zajęcia i organizują zawody. Mamy orliki, na których mogą trenować i dzieci, i dorośli, są siłownie na wolnym powietrzu, ścieżki rowerowe... Dziś łatwiej uprawiać sport, ale też go oglądać. Oczywiście to, czy dziecko zacznie uprawiać sport, zależy tylko od niego. Z pewnością niemale znaczenie ma środowisko – to, czy znajomi wolą umówić się, by pograć w piłkę, czy raczej wolą komputer lub wyjście do kina. □ ■